ROZMAITOŚCI.

Dnia 5. Marca **Nr 10.** **Roku 1842.**

Dagerotyp w haremie.

Horace Vernet, sławny malarz francuzki, bawił już dni kilkanaście w Aleksandryi. Mieszkał w pałacu wice-króla. Osłonięty długim egipskim płaszczem, przechadzał się codziennie po mieście; wycieczki te zmuszały go przechodzić każdego poranku ulicą wiodącą poniżej nieprzystępnych tarasów, po za któremi niewiasty baszy w dni pogodne, przechadzką się bawiły.

Raz wyszedłszy bardzo rano, ujrzał się sam jeden na ulicy, aż oto coś, co dla niego zdawało się być przeznaczone, padło u nóg jego... Byłato biała, do różowéj wstążki przywiązana róża; w tymże samym czasie podniosłszy głowę w górę, ujrzał tegoż samego koloru przepaskę, na szczycie muru w powietrzu powiewającą.

»Cóżto ma znaczyć?« rzekł sam do siebie zdziwiony malarz.

Jednakże przypomniawszy sobie powieści z *Tysiąc nocy i jedna,* pomyślił sobie w duchu: »Jestto zapewne oświadczenie miłości!...«

Jakoż w saméj rzeczy, któżby mógł inaczéj wyłożyć sobie znaczenie tego symbolicznego podarku! Nie oznaczałaż biała róża: »Jestem damą haremu«, a czerwona wstążka: »Pałam gorącą miłością ku tobie, ale niewolnicą jestem.«

Na nieszczęście, sławny artysta nasz jest poważnym mężem, a promienny wieniec jego sławy, spoczywa na głowie już szronem wieku przyprószonéj. — »Dama ta zapewne ma mnie za kogo innego«, rzekł sam do siebie z uśmiéchem filozoficznym. — Jednakże obejrzawszy się na około, zdziwił się, że nie ujrzał nikogo na ulicy.

»Chociaż róża ta nie dla mnie przeznaczona«, pomyślił sobie, »jednakże mam prawo zatrzymać ją.«

Po téj rozwadze puścił się daléj drogą, rozkoszując wonią kwiatu i dumając mimowolnie nad tą szczególniejszą przygodą.

Wypadek ten nie wyszedł mu z pamięci nawet nazajutrz, gdy znowu przez to samo miejsce przechodził; lecz cóż się dzieje? Oto druga róża pada u nóg jego, a przepaska powiéwa znowu nad jego głową. Trzeciego dnia pada trzecia róża, i tak daléj i tak daléj przez cały tydzień.

»A to jak widzę, oczewista pokusa!« rzekł malarz podjąwszy szóstą różę z ziemi, »teraz muszę wierzyć, że jest dla mnie przeznaczona. Niechcący podbiłem sobie jednę z niewiast mojego gospodarza, a więc jestem w pewnym względzie drugi Józef u Faraona naszego czasu!«

Chociaż Horace Vernet żartował sobie w ten sposób, był jednakże w wielkim kłopocie, i z niespokojném sercem wszedł do pałacu Mehmeda Alego. Żadna, najmniejsza okoliczność nie mogła go naprowadzić na poszlakę nieznajoméj damy; w pomieszkaniu swojém nie widział nawet cienia płci żeńskiéj, a róże z tarasu haremu także już padać przestały.

W przeciągu tego czasu miéwał artysta codzienne długie rozmowy z wice-królem. W jednéj z tychże Horace Vernet objaśniał Baszy dagerotyp nowo-wynaleziony. Wice-król tak mocno się zachwycił dziwnym tym wynalazkiem, iż o skutku jego, własną ręką chciał się przekonać. Odtąd przesiadywał Basza rano i w wieczór u artysty, i uczył się, jak sobie z tymże wynalazkiem postępować należy! W krótkim czasie sędziwy

uczeń pojął całą rzecz tak dalece, że już bez pomocy nauczyciela zaradzić sobie umiał, i życzył sobie dać dowód swéj wiadomości.

»Jeżeli jutro będzie piękna pogoda«, rzekł do malarza, »zwidzimy wielkie nad portem budowle; każę przynieść ten dziwny instrument, i sam nim kierować będę.«

Nazajutrz zaczęło mocno dogrzéwać słońce Egiptu, a więc artysta, wice-król i kilku oficerów, puścili się drogą, która do portu wiodła. W chwili, gdy przejeżdzali po przed przeznaczone dla niewiast Baszy łaźnie, Horace Vernet nagle wstrzymał swego konia, a na siodło jego rumaka, padł prześliczny bukiet z kwiatów uwity. Cały orszak rozweselił się tém zdarzeniem i życzył mu szczęścia do tak niespodzianego upominku.

»Jestto drugi tom mego romansu«, pomyślił sobie artysta, »nieznajoma dama moja zapewne kąpie się w tym domu!«

Gdy spostrzegł, że bukiet jego idąc z rąk do rąk, był ściśle rozpoznawany, zaczął mu sam się z uwagą przypatrywać. Byłyto rzadkiéj piękności kwiaty i w szczególniejszy sposób ułożone. Nié masz wątpliwości, że w nich ukryte było jakieś tajemne życzenie, ale artysta na nieszczęście nie umiał go sobie wytłumaczyć.

»Wpan chciałbyś zapewne wiedzieć, co ma oznaczać ten wonny podarek«, rzekł młody Mameluk, oficer z orszaku wice-króla, umiejący doskonale po francuzku, »racz mi go pozwolić na chwilę, a ja mu natychmiast wyłożę jego znaczenie.«

»I owszém, proszę«, odrzekł malarz i dał bukiet oficerowi.

Ten rozpoznając szyk układu i woń każdego kwiatka z osobna, wyłożył myśl następującą:

»Bicie serca mego przekonywa mnie, że cię kocham; czy i twoje serce mówi ci, że mnie kochasz nawzajem? Ciało moje jest wolne od wszelkiéj zmazy, równie jak i dusza moja nie zna innéj miłości; jestże i twoja dusza podobnież od wszelkiéj niestałości daleka? Z tęsknotą pragnę wolności, aby pozostać twoją niewolnicą; chceszże być moim panem i dopomożesz mi do odzyskania mojéj wolności? Nie przechadzaj się już po pod taras z-rana, ale wieczorem. Wtedy białe róże będą znowu spadać na ciebie, a woń ich nie mniéj jest przyjemną pod wieczór, jak z-rana. Kochanku duszy mojéj, jeżeli się kiedy spotkamy, poznasz mnie po mojéj różowéj przepasce.«

Młody oficer wyłożywszy w ten szczególny sposób pismo kwiatów, zwrócił równiankę artyście; jednakże Horace Vernet, chociaż mu sam Basza do tego życzył szczęścia, zamyślił się na chwilę, a lekki uśmiéch osiadł na ustach jego.

»Dziękuję panu bardzo pięknie«, odezwał się do grzecznego tłumacza, »ale upraszam, abyś dokończył swego dzieła, i odpisał mi témi kwiatami odpowiedź, którąby godną była tego listu.«

»Najchętniéj«, odrzekł oficer.

Poczém ułożył kwiaty w inny sposób i zawarł w nich następujące znaczenie:

»Nie inaczéj, bicie serca mego przekonywa mnie, że cię kocham; serce moje nie podléga niestałości, równie jak twoje! Lecz życzę sobie być twoim niewolnikiem, nie panem. Kochanko duszy mojéj, dzisiejszego wieczora pod tarasem spodziéwam się podarku od ciebie! Wszystkie myśli moje są przy tobie tak z-rana jak i w wieczór. Gdziekolwiek się zdybiemy, zawsze po błękitnym poznasz mnie płaszczu.«

»Przewybornie, mój sekretarzu, przewybornie!« rzekł malarz i odebrał bukiet.

»Przewybornie!« powtórzył cały orszak, który w téj chwili do portu się przybliżył.

W porcie rozmawiano jeszcze niejaki czas o téj zabawnéj przygodzie, poczém artysta zająwszy się ustawieniem dagerotypu, zdawał się zapominać o nadmienionym wypadku.

Za wskazaniem i pomocą artysty, odbył wice-król zaszczytnie próbę. Miasto i port, które słońce jasnym promieniem oświetlało, zatoka z stojącémi na kotwicy okrętami, długie śrébrne smugi nieprzejrzanego morza w dali, ciemne skały z wysokiémi latarniami morskiemi, wybrzeże portu wykładane różowym granitem, i oblane falami morza białe domy nowo-zbudowanego miasta, które się z-śród zamierzchłych gruzów Nekropola wznosiły, Arabowie, którzy nieruchomo pod grobowcami swoich przodków siedzieli lub na gankach meczetów się znajdowali; wszystkie te przedmioty odbiły

się wiernie za pomocą dagerotypu na płytach metalowych.

Trzykrotnie ponawiał Basza próbę z rozmaitych punktów, i trzykrotnie ją najpomyślniejszy skutek uwieńczył; a uzyskawszy za swą pojętność od nauczyciela najpochlebniejsze pochwały, zamyślił także dla drugich być w téj mierze nauczycielem. Kazał przystąpić bliżéj najmłodszym oficerom swego orszaku i kierował czwartą próbą, którę sami wykonywać musieli; wszystko znowu szczęśliwie się powiodło, a Baszę uznano mistrzem słonecznego malarstwa. Był on téj chwili tak mocno uradowany, iżby się był z swym talentem najchętniéj przed całym Egiptem popisywał, i przezco nagle wpadł na myśl, która dla niego niebezpieczne skutki sprowadzić miała.

»Wróćmy do pałacu«, rzekł z ukontentowaniem do artysty. »Bądź tak grzeczny, zostaw mi na czas niejaki dagerotyp, i włóż weń kilka płyt metalowych, które promienie słońca do siebie przyciągają.«

»Stanie się zadość Waszéj Wysokości«, odrzekł Horace Vernet uprzejmie.

Ale jakaś niespokojność ogarnęła go, gdy Mehmed Ali o niewiastach swoich nadmienił.

»Jako najłaskawszy panie?« rzekł, ścisnąwszy bukiet mocno w ręce. »Wasza Wysokość zamyślasz niewiastom swego haremu dagerotypem widowisko sprawić?«

»Nie inaczéj«, odrzekł Basza z uśmiéchem, »i dla tego muszę tą razą obejść się bez pomocy wpana!« — Jakkolwiek naczelnik Muzułmanów był bardzo grzeczny, wszelako artysta spostrzegł, że ciągle jeszcze zazdrość mieszkańcom Wschodu właściwa, strzegła jego haremu, a mając zawsze w pamięci białą różę, z boleśnem uczuciem pomyślił sobie w duchu:

»Jakże sprzyjającą byłabyto sposobność, ujrzenia Odaliski z różową przepaską!«

Nadaremnie artysta czynił Baszę uważnym, że jeszcze mało może być pewnym pomyślnego skutku, że jeszcze całą ostatnią próbą sam nie kierował, że ta rzecz większéj jeszcze wprawy wymaga, i że to byłoby niemałym dla niego wstydem, gdyby mu się próba wobec rozciekawionych niewiast nie powiodła. Na wszystkie te aczkolwiek niezbite dowody, wstrząsnął Basza głową, a stanąwszy u drzwi pałacu, musnął się kilkakrotnie po siwéj brodzie i rzekł:

»Kochany mój gościu, proszę o dagerotyp i pięć płyt metalowych, na jednę tylko godzinę!«

Z westchnieniem zaniechał Horace Vernet swojego planu, a malarz słoneczny zostawiwszy go, wszedł do komnat swych niewolnic.

Przesuniemy teraz po przed oczy czytelnika obraz, który naszego *photografa* jest godny, przezco tém wyraźniéj okaże się mu zmartwienie Horacego Verneta.

Niech patrzy i widzi na najwyższym szczycie haremu na tarasie, ocienionym drzewy pomarańczowemi, z kąd białe róże padały, — Baszę z swémi młodemi Odaliskami. Pośród tych kwitnących twarzy i lśniących szat różnobarwnych, na niego tylko samego i na jego białą brodę, pogląda słońce, i dziwi się, że ten pra-prawnuk wielkiego proroka, w kaftanie złotem wyszywanym, w przepysznem sobolém futrze, dyjamentami wysadzanym turbanie, tak bardzo jest zatrudniony! Z przezornością bierze on wobie ręce dagerotyp, i ustawia go na wolném, wysokiém miejscu. Wielki, niezwyczajny ruch w haremie, jakaś rzecz niesłychanie ciekawa! Najpiękniejsze Odaliski opuszczają swoje dywany i słomiane maty, i spieszą dla przypatrzenia się temu rzadkiemu, nigdy nie słychanemu dziwowisku! Mehmed Ali bierze z poważną miną profesora, jednę z nadesłanych przez malarza płyt metalowych. Serca dziewic biją z ciekawości, cisza i milczenie wszędzie; każda myślą pyta: Co to będzie, co to będzie?—On wkłada uroczyście płytę w dagerotyp po-za soczewkę, i wziąwszy się dumnie pod boki, czeka przez minut kilka z tryjumfem. Wkrótce potém, pewnym będąc, że światło już swoje działanie skończyło, wyjmuje zwolna i ostrożnie z ciemnéj kryjówki płytę. Niewiasty patrzą z natężeniem w cudotworcę, a on w téjże chwili do nich rzecze: patrzcie, co za prześliczny obraz... Lecz — o wielki proroku! Jakiż przestrach! Wszyscy mieli ujrzeć cud — a cudu nié ma!

Srebrem powleczony metal jak był, tak jest biały, tylko twarz Baszy poczerwieniała!

*

»Za spiesznom sobie postąpił!« rzecze Mehmed Ali zmartwiony. — Wsuwa powtórnie płytę po-za soczewkę, lecz i tą razą nie osiąga zamierzonego skutku! — »Cóżto ma znaczyć?« rzeknie całkiem zmieszany, »zapewnie znowu nieuważniem sobie w czém postąpił, lub téż o jakowéj drobnostce zapomniał.«

Spokojnie rozważa jeszcze raz wszystko, i rozpoczyna znowu z większą ostrożnością niż przedtém. Daremne usiłowanie! Obraz znowu się nie pojawia, i tak dzieje się po czwarty raz i po piąty.

Zmartwiony usiada na dywanie.

Lecz przytłumiony śmiéch i ciche szeptanie niewiast, wkrótce go w straszny gniéw wprawiają. Powstaje z miejsca, zbliża się do niewdzięcznego narzędzia, i omal, że go w kawałki nie druzgoce. Przypatruje się mu znowu z uwagą, obziéra ze wszystkich strón, ale nie znachodzi żadnéj pomyłki.

»Cóż tu począć? jak sobie poradzić, jak się z tego kłopotu z honorem wydobyć? — Jeden tylko jest sposób! Chcąc nie chcąc, trzeba Horacego Verneta do haremu przywołać!«

Długo waha się Basza, nim na ten ostateczny krok zezwoli; nakoniec miłość własna, odnosi zwycięztwo nad zazdrością; niewolnik bieży przyzwać artystę.

Że ten z pośpiechem przybywa, któżby się tego nie domyślił, i tak było w saméj istocie; przybywa prawie zadyszały, a najpiérwszą z dziewic, która w oczy mu wpada, jest Odaliska z różową przepaską! Piękna jak pogodny poranek, prawdziwa haremu róża, która dopiéro siedmnaście wiosen kwitła!

Ale cóżto ma znaczyć? Czemuż ona tak spokojna, a on tak zmiészany? Jestżeto obojętność lub odczarowanie? Kochaż ona kogo innego lub udaje? Jestto szczególniejsza tajemnica, która się nam wkrótce wyjaśni.

Horace Vernet zatopiony w słodkiém uczuciu, zaledwo słyszy co do niego wice-król mówi, i dopiéro wtedy, gdy się już do nasytu pięknéj mieszkance haremu przypatrzył, przyszedł do siebie i zaczął dagerotyp oglądać.

»Na brodę wielkiego proroka!« z udaném zadziwieniem zawoła. »Wasza Wysokość raczy mi przebaczyć — przewiniłem — w pośpiechu przysłużenia się — zapomniałem płyty jodem powléc!«

Wiadomo, że podług najnowszego udoskonalenia dagerotypu, rzecz tę piérwéj uskutecznić należy. Wice-król będąc pewnym, że Horace Vernet sam już to poprzednio wykonał, ani pomyślił o tém. Z tąd poszły tyle-krotne nadaremne usiłowania, które tak wielkim wstydem go nabawiły, a których jedynym powodem była udana nieuwaga artysty... — Mehmed Ali poznał się wprawdzie na tym przebiegu, jednakże tém chętniéj mu przebaczył, że się tém przed Odaliskami sam usprawiedliwił.

»Zazdrość moja przebacza wpanu przez wzgląd na próżność moję«, rzekł po-cichu malarzowi do ucha. — »Ponieważ wpan tak bardzo zajęty jesteś moim haremem, jak ja dagerotypem jego, więc po przyjacielsku z sobą porozumiéć się możemy. Przynieś mi kilka najodowanych płyt metalowych, a za to swobodnie, i bez przeszkody przypatrz się haremowi mojemu.«

Horace Vernet nie dał sobie tego jeszcze raz powtórzyć, i za kilka minut powrócił do haremu. Artysta i wice-król byli tą razą zupełnie z siebie zadowoleni, bo podczas, gdy ten ostatni zadziwiał swe niewiasty pomyślnym skutkiem dagerotypu, piérwszy, postarał się o to, że bukiet zawiérający odpowiedź, w ręce Odaliski z różową przepaską się dostał.

Lecz czemużto oko Baszy błysnęło gniewem, gdy śród głośnego okrzyku radości się obejrzał. Czemużto Horace Vernet drzy na całém ciele i blednieje na twarzy? Czemuż Wice-król za gindżał chwyta?...

Mehmed Ali spostrzegł zbliżenie się malarza do Odaliski, poznał jéj przepaskę i bukiet, który w obecności jego w odpowiedź ułożono.

»Dziéj się wola Boga«, pomyślił sobie Horace Vernet, prawie na pół nieżywy — »zginąłem nieochybnie, a romans mój podobnie jak wszystkie przygody na Wschodzie, jedwabnym sznurkiem się skończy!...«

Ale jakże nie uradował się artysta, gdy spostrzegł, że gniewny wzrok wice-króla, łagodniejszym się stawał i na groźnéj twarzy jego, przyjemny uśmiéch zajaśniał.

»Przed stem laty, byłaby już spadła głowa z karku wpana«, rzekł wice-król, »ale ponieważ ja nie jestem takim Baszą jak drudzy, więc przebaczam dziewczynie i wpanu, a kiedy ci tak bardzo się podoba, więc weź ją sobie.«

»Przyjmuję ten dar od Waszéj Wysokości«, rzekł malarz uradowany, »ale pod tym warunkiem, aby mi wolno było rozrządzić nim według upodobania.«

»To się rozumie samo przez się i jest w Egipcie prawem«, odrzekł Mehmed. »Odtąd jest ona tak, jak i dagerotyp, własnością wpana.«

»Wasza Wysokość jesteś wzorem wielkomyślności i przykładem dla wszystkich Baszów!« rzekł artysta, »a teraz pozwolisz mi, że uszczęśliwię dwoje ludzi w Twoim pałacu!«

To rzekłszy, wziął Horacy Vernet piękną Odaliskę uprzejmie pod rękę, i przyprowadził ją do młodego oficera Mameluków, biegłego tłumacza bukietu miłosnego; gdy oboje kochankowie nie pojmując zamysłu jego, stali zdziwieni, on rzekł:

»Dama ta, jest własnością wpana«; poczém pokłoniwszy się wice-królowi, powrócił ten wielki artysta do pracy zawodu swojego.

Tak pomyślnie skończyło się to *qui pro quo*, do którego rozwiązania przechadzka nad portem, malarzowi sposobność podała. Spostrzegłszy on pomieszanie oficera, gdy po przed łaźnie przejéżdżali, poznał dokładnie, do kogo rzucone kwiaty należały. Mając płaszcz i postawę podobną do oficera, domyślił się reszty, a dowiedziawszy się, że Egipcyjanin jest zacnym człowiekiem, starał się oboje kochanków tym sposobem połączyć.

Piękny obraz Horacego Verneta, który w roku 1841 na wystawie sztuk pięknych się znajdował, przedstawia w uroczym kolorycie tę przygodę na Wschodzie.

SŁÓW KILKA
o repertoarzu teatralnym.

Najulubieńszym przedmiotem zwyczajnéj towarzyskiéj rozmowy jest w tych czasach teatr i to pytanie: w jakie dzieła powinien być zaopatrzonym repertoarz teatralny? Wielkie w téj mierze bywają spory, a co głowa, to rozum. Mało kto wychodzi z zasad wiadomości rzeczy, większa część sądzi podług swego smaku, osobistéj skłonności, swego widzimi się, lub podług chwilowego usposobienia umysłu. Ale tu żadna osobistość ani widzimi się, nie pomoże. Aby dostatecznie rozwiązać to zagadnienie, należy najprzód pomiędzy teatrami wielkich a małych miast, wytknąć pewną różnicę. Teatra piérwszego rzędu, mają dla siebie pewne, stałe zakresy. Przedstawiają one albo same tylko wielkie opery, albo wielkie dramata, a nawet i w tych obiérają sobie wyłącznie tylko *jeden rodzaj*. Akademija królewska w Paryżu, daje tylko same świetne, na zmysłowe wrażenie wyrachowane opery; *théâtre français* przedstawia same tylko klasyczne dramata, albo takie, których autorowie sławne imię sobie zjednali; *theâtre de variétés* przestaje na samych małych komedyjach, wodewilach i t. d. W takich teatrach, snadno oznaczyć i zapełnić repertoarz teatralny. Aktorowie tych teatrów, zawsze tylko do jednego i tegoż samego gatunku roli przeznaczeni, dostępują w krótkim czasie świetnego szczytu doskonałości, a przez nieustanną wprawę, stają się wzorowémi mistrzami w swoim wydziale; stają się oni wprawdzie przez to jednostronnymi, ale właśnie w téj jednostronności nabywają znaczenia i sławy. Inaczéj rzecz się ma po małych teatrach w miastach średniego rzędu. Tu muszą aktorowie pracować wszechstronnie w rozmaitym wydziale, i do każdéj zastósować się roli. Kto dziś odegrał króla *Leara* lub *Hamleta*, musi jutro wystąpić w lekkiéj komedyi lub krotochwili. Wielkie teatra, mają uorganizowaną całość, odpowiedne charakterom talentu, odpowiedny czas wyuczenia się ról i wypróbowania ich między sobą; powtarzają częstokroć przez cztéry lub sześć miesięcy raz po raz z małą przerwą te same, dobrze wyuczone i w pamięci utwierdzone sztuki, a mając przed sobą ciągle *inną* publiczność, powtarzaniem tém nie nudzą ani samych siebie ani swych słuchaczy, i przy ustalonéj, wygodnéj sytuacyi, dążą w cel estetyczny; małe świątynie Talii zaś, mając uzbiéraną całość swoję z różno-rodnéj drużyny i nierównych talentów, już bardzo wiele sobie pozwolą, gdy jedne sztukę lub operę pięć lub sześć razy raz po raz dadzą; gdyż wtedy zniecierpliwiona publiczność zwykle na jednostajność narzékać zaczyna. Gdy więc zapytanie pod względem repertoarza w wielkich teatrach, gdzie wszystko wszystkiemu odpowiada, jest łatwe do rozwiązania, w małych teatrach, gdzie wszystko z trudnością się w jedność stroi, trudno je z powszechném zadowoleniem odpowiedzieć. Co się tyczy

repertoarza w pomniejszych teatrach, *piérwszym warunkiem dla nich jest rozmaitość i odmiana*, przezco samo w ten cel powinny mieć dostateczną ilość członków. W mieście, w którém tylko jeden jest teatr, tam w odwidzaniu go stykają się wszystkie stany, przezco zawiadowanie takim teatrem, jest nader trudne. Któż niezna stu-głowéj publiczności, jéj wymagań i dziwacznego smaku! Jeden lubi dowcipne krotochwile, drugi lekkie komedyje; ten ma upodobanie w nderzających, zaostrzających ciekawość dramatach nowoczesnéj szkoły francuzkiéj, tamten w klasycznych, gładkim wiérszém ulanych trajedyjach; ten w jeuijalnéj charakterystyce Szekspira, tamten w idealnéj piękności Szyllera lub Kalderona. Inni znowu przenoszą głaszczącą zmysły operę nad dramat i tak daléj, i tak daléj. Światli wymagają moralnego pożytku przy zabawie, płaskomyślni, saméj tylko czczéj rozrywki, i t. d. i t. d. W takim składzie rzeczy, trudno wszystkim dogodzić, równie jak trudno rozmaitość w repertoarzu osiągnąć, zwłaszcza, kiedy przytém brak jenijalnych autorów lub tłumaczów, jak się to bardzo często zdarza! Są też inne przeszkody: raz zasłabnie który z członków towarzystwa, drugi znowu uroi sobie, że jest słaby; jeden nie zechce przyjąć roli, która dla niego przynależy, drugi znowu nie nauczy się na czas przeznaczony; raz nie podoba się sztuka, po któréj wiele sobie obiecywano, i na bok ją odłożyć trzeba; raz znowu zateatralne, całkiem niespodziane wypadki i stosunki, sprowadzą za sobą konieczną zmianę repertoarza. Wszelkiémi témi trudnościami, którychby mnóstwo naliczyć można, nie powinna się dyrekcyja zastraszać, lecz ile możności starać się zastósować do okoliczności i dążyć do swego celu. Dyrekcyja obok tych z-obowiązań względem publiczności, ma także z-obowiązania względem członków swojego towarzystwa. Jakkolwiek aktorowie i operzyści równie jak i małżonki ich, mogą być skłonni do czynienia przeszkód repertoarzowi, jeżeli im tenże nie podoba się, albo jeżeli jakimkolwiek sposobem sądzą się być urażonymi; tak też z drugiéj strony okazują się gorliwi i chętni, jeżeli im dyrektor do popisania się sposobność poda, to jest, jeżeli im wdzięcznych ról nie odmówi. Otóż to jest punkt najgłówniejszy. W teatrach piérwszego rzędu może, a nawet powinien repertoarz być wyrachowany na jednostronne, świetne talenta i na kilku członków, którzy już sławę sobie zjednali; przeciwnie zaś w teatrach drugiego rzędu, powinien repertoarz pomiędzy siły wszystkich stósownie być rozdzielony. Tam, gdzie żaden nie stoi tak wysoko, iżby talentem swym wszystkich innych przyćmił i w wielkim stopniu przewyższył; powinien jeden drugiemu chętnie raz ustąpić piérwszeństwa, i każdemu powinna być dana sposobność do okazania swéj zdolności. Nastręczyć przyzwoicie sposobność tę, przejrzéć dokładnie całość, umieć w każdym członku gorliwą chęć i przywiązanie obudzić, mierność podnieść, przesadę przygnieść, piękność charakteru wskazać; to zależy od talentu samego dyrektora; równie jak i to jest najgłówniejszą jego powinnością, aby każdego miał na oku, i żeby jednemu z krzywdą drugiego piérwszeństwa nie dawał, ani go protegował. Jeżeli w téj mierze repertoarz tylko na kilku członków będzie wyrachowany, wtedy za najmniejszą przeszkodą może nieporządek i nieład nastapić, a taka jednostronność, takie uwzględnienie, zwykle ten za sobą prowadzą skutek, że członkowie uprzywilejowani, wzmogą się nad samę dyrekcyję, a mając się za niezbędnie potrzebnych, codziennie żądania swoje powiększać będą. A pominąwszy nawet i tę przeszkodę, jeszcze i ta niedogodność z tego wypłynie, że publiczność, która jest zawsze też sama, dla członków protegowanych, widząc ich raz wraz przed sobą, wkrótce obojętną się stanie. Prawda, że w każdém towarzystwie teatralnym znajdziesz członków, którzy u publiczności szczególniejszą mają łaskę, i którzy przezto samo, częściéj niż inni występować powinni; jednakże i to ma swą granicę, któréj przekraczać nie należy. Nie wchodząc w szczegóły nadmienionego tu zadania, kończymy tę ogólną uwagę tém życzeniem, aby się dyrekcyje teatrów drugiego rzędu ile możności przy przyzwoitéj wystawie sztuk, dobranéj ilości członków, o odmianę w swym repertoarzu starały, i często nad tém się zastanawiały, ażali dalekiémi będąc od wszelkiego protegowania i jednostronnego uwzględnienia; na każdą osobę swojego towarzystwa tak baczne zwracają oko i tak ją zachęcają i zatrudniają, jak tego interes ogółu wymaga. Bez téj uwagi i bezstronności, działalność ich, nigdy nie odniesie pożądanego skutku. Prawda, iż to zadanie jest bardzo trudne do rozwiązania, i zawsze jeszcze ma tu miejsce starodawne przysłowie: *»Co głowa to rozum«*, jednakże nie powinno to zniechęcać dążności ku temu, co jest najlepsze, aby przynajmniéj osiągnąc to, co jest dobre.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 9 i obejmuje: 1) O tak zwanym wyprzaniu oziny i o środkach jego zapobieżenia. 2) Zachęcenie do lepszego uchodzenia łąk. 3) Sposób karmienia inwentarza zimną parzonką. 4) Doświadczony sposób daleko więcéj niż dotąd z masy

cukrowéj uzyskać czystego cukru. 5) Wiadomości ogólne: Powołanie, wychowanie i wykształcenie rolnika.

Ner 5. *Dziennika mód paryskich*, wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, zawiera prócz mód, następujące artykuły: 1) Parafijańszczyzna, przez L-D-B. 2) Pierwsza znajomość, wiersz przez L-D-B. 3) Teatr. 4) Rozmaitość.

Dnia 1go marca r. b. wyszedł z pod prasy trzeci zeszyt *Lwowianina*, przeznaczonego krajowym i zagranicznym wiadomościom, i zawiera następujące artykuły: Oddział krajowy: 1) Miłostka, poezyja przez Tytusa Schmiedt. 2) Kontrakty, powiastka przez K. S. (Ciąg dalszy). 3) Narol, Lubycza, Rawa i Żółkiew, przez L. Zielińskiego (Dokończenie). — Oddział zagraniczny: 1) Dumka Petrarki, poezyja przez K. S. 2) Rudolf hrabia Habsburg, obraz historyczny, oddział drugi, przez M. Michalewicza. — Oddział literatury: 1) Zarysy domowe, dzieło Kazimiérza W. Wojcickiego, krytyka przez Rawicza. 2) Czarna mara, dzieło pani Nakwaskiéj, krytyka przez Mikołaja P. 3) Opisy podróży, przez A. Ł.—Nagrobek Stanisławowi Lubiczowi Jaszowskiemu i tegoż bijografija, przez L. Zielińskiego.

Bieg płanety i wozu parowego. Obliczono, że wóz parowy do przebieżenia drogi, którą planeta *Uranus* około słońca odbywa, potrzebowałby najmniéj 64,570 lat, rachując po 30 mil angielskich na godzinę; gdy tymczasem tenże sam planeta do odbycia téj drogi tylko lat 84 potrzebuje.

Ludność państwa Konektykutu w Ameryce północnéj, wynosi około 300,000 dusz, a między wszystkimi mieszkańcami tegoż państwa mającymi udział w głosowaniu, znalazł się zeszłego roku jeden tylko człowiek, który w skutek zaniedbanego wychowania czytać i pisać nie umiał.

Niektórym czytelnikom gazety naszéj, zapewnie przyjemno będzie wiedzieć, jak się też wymawiają po polsku imiona angielskie, które najczęściéj w gazetach są spominane. Przytaczamy tu mały spis onychże: Peel, czytaj: *Pil.* Brougham: *Brum.* Anglesia: *Englezy.* Mak Leod: *Mek Laud.* Lowther: *Laudszer.* Napier: *Nahpier.* Aberden: *Eberdin.* Knatchbull: *Knetzbul.* Bruce: *Brus.* Cambridge: *Kembrydż.* Chatham: *Czettem.* Blackburn: *Blekbern.* Ashley: *Aszle.* Graham: *Grem.* Sugden: *Segden.* Ellenborough: *Elenboro.* Fremautle: *Frimentel.* Sutherland: *Seaszerlend.* Buckleugh: *Bukluh.* Howich: *Hauik.*

Na licytacyi książek w Londynie, za jeden tom zawierający trajedyję, którą jedni Schakespearowi, drudzy jego poprzednikowi, Krzysztofowi Marlow przypisują, zapłacono 131 funtów szterlingów, to jest 1310 złr. mon. konw. Książka ta drukowana 1595 roku i miana za jedyny egzemplarz, który dotąd istnieje, ma napis: »*Prawdziwa trajedyja Ryszarda, księcia jorskiego i śmierć króla Henryka VI.*«

Książę Joinville przywiózł z sobą z Nowéj Fundlandyi dwadzieścia psów, dla towarzystwa zajmującego się ratowaniem rozbitów.

W Londynie grało dwóch Anglików w szachy partyję o 3,500 talarów. Ten, który wygrał, był to fabrykant czernidła do butów.

Bal w szpitalu obłąkanych. Do uleczenia osób cierpiących obłąkanie, lékarze używają teraz nietylko muzyki ale nawet i tańca. I tak gazeta amerykańska donosi z Worczestru co następuje: »Na tydzień przed Świętami Bożego Narodzenia, odbył się tu bal w szpitalu obłąkanych. Pacyjenci okazują wielkie upodobanie w tańcu, jakoż lékarze wyznaczają im regularnie jeden wieczór w tygodniu dla téj rozrywki. Bale odbywają się na galeryi, ciągnącéj się wzdłuż skrzydła całego gmachu. Na ostatnim balu tańczyło przy wybornéj muzyce około czterdziestu, a drudzy się przypatrywali. Galeryja czyli długa sala była gustownie przyozdobiona barwinkiem; pomiędzy obłąkanymi, panował jak największy porządek, wszyscy zdawali się być zadowoleni i nie hałasowali. Niektórzy z nich byli bardzo dobrze ubrani. Drudzy zaś tylko dziwacznym strojem okazywali pomieszanie zmysłów. Lecz większa część z nich zabawiała się wesoło i przyzwoicie. Nie zbywało tam i na lekkich, chłodzących napojach. O godzinie dziewiątéj skończył się taniec, poczém całe towarzystwo przeszedłszy się parami kilkakrotnie po sali, rozeszło się do swych pokoi.«

Pogrzeb spóźniony. Przed kilkoma laty na jednéj z osad Wielkiéj Brytanii umarła żona angielskiego oficera, a że sobie życzyła być pochowaną w swojéj ojczyźnie, więc ją włożono w beczkę rumu i do Anglii zawieziono. Spoczywała ona długo na komorze cłowéj *Custom-house* w Londynie, zanim ją małżonek, który się nawet był powtórnie ożenił, z tamtąd wykupił; gdyż się zawsze albo zupełnego zniesienia, a przynajmniéj zniżenia cła od rumu spodziewał.

[illegible] Coignet, młody malarz francuzki odmalował obraz, który w Paryżu bardzo wielkie wrażenie sprawił. Tintoretto, sławny malarz wenecki miał prześliczną córkę, która także w sztuce malarskiéj godną była imienia swego ojca, gdyż malowane przez nią obrazy, były prawdziwe arcy-dzieła. Maryja Tintoretto zaczęła słynąć podobnie jak Tycyjan, i wszyscy znakomici panowie życzyli sobie, aby ich portrety malowała. Sława Maryi nie ograniczyła się na Wenecyi, owszém rozeszła się po całéj Europie i kilka dworów usiłowało przywabić ją do siebie; lecz wszelkie widoki zysku i najświetniejsze przyrzeczenia nie zdołały nakłonić córki Tintorettego do opuszczenia swego ojca, gdyż wielki ten artysta liczył już lat 80, a nadobna i utalentowana córka była jedyném szczęściem jego. Lecz cóż się dzieje? Oto córka umiera nagle, a wielki mistrz pogrąża się w rozpaczliwym żalu. Uklęka przed łóżkiem, na którém spoczywa córka; rozpacz osiada na jego twarzy, a boleść łzy mu odbiera. Aż nareszcie przypomina sobie starzec, że on jest Tintoretto, bierze w rękę palet, siada naprzeciw zmarłéj, i spiekłem od bolu okiem poziera raz na swoje nieszczęsne dziécię, drugi raz na płótno, na którém się pomału jakby czarodziejską róższczką dotknięty, żywy jéj obraz pojawia. Nieraz przygniata i pokonywa go żal nieukojony, i nieraz biédny starzec ustaje w pracy; jednakże zawsze na nowo zrywa się Tintoretto i zawsze na nowo chwyta w rękę palet. W takiéj walce upływa noc cała. Jęczący dźwięk dzwonu oznajmia jednę godzinę po drugiéj, ale Tintoretto nie słyszy tego; maluje a maluje, aż nareszcie cały obraz kończy, poczém na krawędzi taki kładzie napis: *Mia figlia Maria Tintoretto.*—Ten straszny dramat, tę scenę z życia Tintorettego, obrał sobie Coignet za przedmiot, i wiernie ją na płótno przeniósł.

Tallejrand. »Dziwi mnie to«, rzekł jednego razu Ludwik XVIII. do Tallejranda, »żeś wpan miał udział we wszystkiém, co się w Francyi przez tak długi czas działo. Powiedz, jakim sposobem zdołałeś obalić najprzód dyrektoryjat, a potém kolosalną potęgę Napoleona?« —»Mój Boże, *Sire*«, odrzekł minister; »ja nie miałem w tém żadnego udziału; we mnie jest coś tak nieodgadnionego, co rządom, które o mnie dbają, nieszczęście przynosi.«

Tureckie Longchamps. Moslemitowie mają siedm świętych nocy, lecz najświętszą ze wszystkich jest tak zwana: *Leilet-el-Kadr,* to jest, noc siły, w któréj nieodgadnione tajemnice się odbywają. Morze, jako symbol czystości, utracać ma téj nocy słoną własność swoję. Żadnemu świętemu i żadnemu prorokowi nie objawiono dokładnie czasu téj cudotwornéj nocy, jednakże sądzą powszechnie, że ona 27 *Ramadanu* przypada, i dla tego ją Moslemitowie uroczyście obchodzą. Wtedy są rzęsisto oświetlone i przyozdobione wszystkie meczety, kapłani uczęszczają po kolei na nabożeństwo, a prawowierni cisną się do meczetów dla zjednania sobie odpustu i błogosławieństwa, jakie téj nocy za wniesione modły przyobiecano. — Po upływie téj nocy, w ciągu dwóch dni *Ramadanu,* damy w Konstantynopolu mają zwyczaj pokazywać się, ile na to zazdrosny welon pozwala, na czworobocznym placu przed pomieszkaniem seraskiera, a to niższa i średnia klasa pieszo, znakomitsza zaś, w rozmaitych dziwacznych powozach. *Morning-Chronicle* z dnia 9go grudnia donosi z Konstantynopola, że dnia 12go i 13go listopada z. r. rzeczony plac był przepełniony. Krocie niewiast, po większéj części osłoniętych, stały po jednéj stronie. Tłumy mężczyzn wychodzących z meczetu Bajazeta, przechadzały się na przeciwnéj stronie, a środkiem przejeżdżało mnóstwo fantastycznie wyrzynanych powozów, które karmazynowém suknem z złotémi frędzlami, przykryte były. W powozach tych ciągnionych bądź pięknie przyozdobionémi wołmi, bądź przez stajennych prowadzonémi końmi, siedziały damy przesłonięte lekkim ale gęstym welonem, z dziećmi w sukienkach rozmąitego koloru. Na głowie miały perły, złote talizmany i ozdoby dyjamentowe, albo cyfrę Sułtana, która brylantami jaśniała. Gdzie niegdzie widać było młodych *Bejów* czyli *Bejzadehów* postępujących za rodzicielskim powozem, albo téż jadących na przepysznych wierzchowcach, z pocztem trzech lub czterech służących. Mieli oni czerwony *fes* na głowie, albo téż spływały im na ramiona długie warkocze, w które drogie klejnoty i perły wplecione były. Sześć powozów sułtanki Walidy, należało do najokazalszych. W tych powozach otoczonych rzezańcami, kawasami i strażą piechoty; jechało około 26 dam. W pierwszym siedziała najmłodsza siostra Sułtana, o któréj rękę starał się Said Basza Egiptu. Ma ona 10 lub 11 lat; była całkiem odsłonięta i bardzo przepysznie ubrana. Prócz mnóstwa dyjamentów, pereł i drogich haftów zdobiących jéj nóżkę lub wplecionych w ciemne włosy, w znak swego dostojeństwa, miała na głowie kilka białych piór strusich, a na ramionach z ciemnego aksamitu naftem i dyjamentami przyozdobioną, i drogim szalem przepasaną suknię. Księżniczka ta, chociaż nie jest odznaczającą się pięknością, co do blasku swych oczu i przyjemnego wyrazu w twarzy, jest podobna do swego brata Wielkiego Sułtana. W drugim powozie, jechał młodszy brat Sułtana, będący jeszcze pod dozorem swéj matki; zdawał się on być bardzo czerstwym chłopcem, i z zawiścią poglądał na małych *Bejzadehów*, którzy w pobliżu końmi toczyli. Przejazdka ta, jest może jedną z najpowabniejszych scen w Stambule, i jedyną sposobnością, w któréj damy, bez zgorszenia Moslemitów, nad całém miastem panować się zdają.

Salamandra trucizną. W dzienniku *Echo d'Alais* czytamy wypadek następujący: Do zajezdnego domu w la Bastide przy gościńcu wiodącym z Villefort do Longogne, przybyli dwaj podróżni i kazali sobie dać obiad. Zażądali także butelkę wina. Ale zaledwie że go skosztowali, natychmiast obadwaj jak piorunem rażeni padli na ziemię, i w najokropniejszych konwulsyjach ducha oddali, nim jeszcze pomoc przybyła. Miejscowa władza uwiadomiona o tym wypadku, przybyła zaraz do gospody i przedsięwzięła śledztwo. Gospodarz i żona jego zaręczali pod przysięgą, że są niewinni; ta ostatnia oświadczyła nawet, że w obec miejscowéj władzy będzie jeść i pić to wszystko, co dla podróżnych zastawiła. Ale zaledwie że wypiła szklankę tegoż samego wina, natychmiast porwały ją straszne kolki, i w krótkim czasie także skonała. Wtedy przystąpiono do rozpoznania trunku w beczce i znaleziono w nim nieżywą salamandrę. Nieszczęśliwy wypadek ten, w którym troje ludzi życie utraciło, przypisują truciźnie z salamandry.

W wielkiém księztwie Heskiém, powstają mocno damy na to, że chociaż tamtejsza płeć żeńska co do ilości nierównie jest liczniejsza niż męzka, jednakże trzech żonatych zaproponowało na sejmie, aby pozwolenie żenienia się ograniczono.

Sposób, w jaki Paryżanka swe długi płaci. Nadobna figurantka jednego z teatrów paryskich, przez stowarzyszenie się Kupidyna z Hymenem, została przed kilką laty zamieniona w młodą, powabną baronowę. Niedawno temu zdarza się, że taż sama młoda, przyjemna dama, ze łzami w oczach, z rozpuszczonemi włosy, zmienioną twarzą i innym przybranym smutkiem teatralnym, wpada do gabinetu swego małżonka, i z rzewnym płaczem i głębokiém westchnieniem oznajmuje, że mu pewną tajemnicę ma wyjawić. Pan baron zmieszał się i przeląkł nadzwyczajnie już postępkiem swéj żony, już widokiem kilku pism, które małżonka w ręku trzymała, domyślając się, że w nich zawarta jest jakaś tajemnica okropna. »Oto, czytaj wpan, czytaj«, rzekła zająkując się baronowa, »a przekonasz się niestety, że dom wpana opuścić muszę.« Baron dostaje zawrotu głowy i na kilka kroków wstecz odskakuje. Nakoniec zebrawszy w sobie wszystkie siły, bierze z rąk żony złowieszcze pismo i czyta: »Pani baronowa C. winna jest praczce L. 2,400 franków — krawcowi F. 1,600 franków i tak daléj, moduiarkom, i jubilerom aż do summy 13,750 franków.« — Baron ujrzawszy, że to jest tylko cios finansowy, odetchnął wolniéj, przybrał jednakże groźną minę. Poczém z zimną obojętnością rzecze: »Jestto bardzo źle, bardzo źle moja pani, nie spodziéwałem się tego.« — »Ach niestety, jestem o tém aż nadto przekonana«, odrzekła pani baronowa z westchnieniem, »i dla tego zamyślam własnym kosztem te długi pospłacać. Oto przeczytaj wpan to drugie pismo.« — »Cóżto jest?« zapytał powtórnie przerażony małżonek. — »Jestto zaangażowanie przy teatrze w Tuluzie.« — »Co, wpani chcesz znowu występować na scenie? Chcesz znowu być aktorką? Jako, baronowa C. komedyjantką? I moje imie miałoby stać na afiszu!!!« — »Zostanę bezimienną, albo przybiorę imię Cecyli lub Klary.« — »To nie uchodzi! Wiédz o tém mościa pani, że nie masz prawa angażowania się bez zezwolenia swego męża, i dla tego nie stanie się zadość woli wpani, na ukaranie jéj zapłacę co się należy!« To rzekłszy baron, podarł kontrakt w kawałki i wybiegł z pokoju. Baronowa uśmiechnąwszy się na gniéw swego małżonka, zarzuciła na siebie nowy szal, i kazała założyć konie dla przejechania się, w duchu zaś pomyśliła sobie: »Niechże mi kto powie, że ja moich długów płacić nie umiem!« Pan baron był jeszcze kontent, że przedsiębierca teatru nie żądał wynagrodzenia, za zrzucenie się z kontraktu.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.